



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



WSZYSTKO OD CIEBIE!

Wszechmocny Boże, Tyś stworzył świat wszystek:

Lasy i góry i najmniejszy listek,
I ptaszka w chmurach, co nuci Twą chwałę,

I w wodach rybki małe.

Tyś nam zaświecił słoneczko nad głową,
I srebrny księżyc prowadzisz po niebie
I gwiazdkis rzucił w przestrzeń lazuruową,

Mój Boże, wszystko od Ciebie.

Od Ciebie wiosna bierze swoje kwiatki,
Lato ma kłosa złociste na łanie,
Jesień orzechów i jabłek dostatków,

A zima z śniegów ubranie.

Każde stworzenie Ty żywisz Twą ręką,
Bądź pochwalony Boże! tym wyrazem,
Świat cały Tobie brzmi głośną podzięką,

I my też dzieci, razem.

My, słaba dziatwa, podnosim wołanie
Zaledwo ze snu rozwarłszy powieki,
Byś do wieczora nas zachował, Panie

Pod skrzydłem twojej opieki.

Zofia Mrozowicka.

Czem jest owoc u roślin?

Co to jest owoc?

— To bardzo dobra rzecz! zawołacie, myśląc o jabłkach, śliwkach, wiśniach, daktylach, pomarańczach etc., które wszyscy lubią, chociaż każdy prawie wyróżnia jakiś jeden, ulubiony przez siebie owoc.

Rzecz to dobra lub nie, to już zależy od owocu, nie wszystkie przecież jadamy, a nawet niektóre odrzucamy, jedząc tylko nasiona, na przykład w orzechach.

Przypomnijmy sobie bowiem, że nasiona nie są wcale stworzone tylko dla przyjemności naszej, że w każdej wyżej rozwiniętej roślinie owoc jest futerałem nasienia, tej nadziei dalszego istnienia roślin podobnych do tych, które owe nasiona wydały.

W kwiatach znajdujemy część środkową, zwaną słupkiem, przybiera on różne kształty, to wydłuża się w strąk jak u grochu, fasoli, robinii, którą pospolicie a niewłaściwie nazywamy akacją; lub też grubiej zamieniając się w rodzaj mięsisto puszystej torebki, na przykład jabłka, śliwki, wiśni, lub też wreszcie tworzy suchy, twardy futerał, za przykład niech tu posłużą orzech lub migdał. To też botanicy, nie zważając wcale na smak owoców, mówią, że są to okrywy nasienia, a stosownie do ich właściwości, dzielą je na owoce mięsiste i suche, a dalej ze względu na powierczobność, na torebkowate, strąkowate, pestkowce i t. d.

Skoro już wiemy jaką rolę odgrywa owoc w roślinach, dalej, że jest to poprostu rozwinięty słupek kwiatowy, przyrzymy się teraz w jaki to sposób powstają wszystkie części kwiatu: kielich, korona, pręciki i słupki.

Gdy wczesną wiosną lub w zimie, zanim rozwiną się pąki, weźmiemy kilka z nich do ręki, nie potrafimy określić które z nich wytworzą liście, które zaś kwiaty, tak są wszystkie do siebie podobne. Bo też każdy kwiat składa się pierwotnie z liści, które następnie dla przyczyn nam niewiadomych zmieniają kształt i barwę.

Wielki poeta niemiecki Goethe, który chociaż umarł przed

killudziesięciu laty; wciąż za pośrednictwem wspaniałych dzieł swoich, żyje w naszej pamięci, zajmował się też pilnie botaniką i on głównie przyczynił się do odkrycia, że liść i kwiat mają jeden pączek i w pierwszych chwilach rozwoju, jeden wygląd. To odkrycie nosi w nauce o roślinach nazwę teorii metamorfozy, czyli teorii przemiany.

Gdy rozwinię się pąk liściowy, wszystkie zawarte w nim liście są do siebie podobne, w pąku kwiatowym zewnętrzne tylko liście i to nie zawsze, mają barwę zieloną i noszą nazwę kielicha, następny rząd czyli okółek liści tworzy już odmienną koronę, barwy jak wszyscy wiemy, rozmaitej, kielich i korona przypominają mniej więcej liście kształtem, oprócz wtedy gdy ich płatki zrosłe są w jedną całość, jak naprzykład w powoju, lecz dalszy okółek liści zawarty w pąku kwiatowym tworzy drobne niteczki z żółtymi po większej części łebkami, to pręciki kwiatowe w niczem do liści niepodobne; zaś sam środek kwiatu zajmuje słupek złożony również z liści, które w rozmaity sposób zrastają się z sobą. Weźmy naprzykład, słupek pierwiosnka czyli prymuli, zobaczymy, iż tworzy zupełnie zamkniętą, kulistą puszkę, gdyż w tych roślinach liście tworzące słupek zrastają się z sobą samymi brzegami. Inaczej rzecz się ma w tulipanach naprzykład; tutaj liście zrastają się także, lecz już nie samym brzegiem tylko pewną częścią swych powierzchni do środka zawiniętych, stąd słupek podzielony jest w środku na części czyli komory, a w każdej komorze rosną nasionka; te już z liści nie powstają, lecz wytwarzają się z tkanek samego słupek. W piwonii znów, żaden liść słupek nie zrasta się z innymi, każdy z nich tworzy oddzielną pochwę napelnioną nasionami, mamy więc w kwiecie nie jeden ale kilka słupek.

Możemy więc śmiało powiedzieć, że owoc nie jest niczem innym jak tylko liściem przemienionym, ale tak przemienionym, że przez długie wieki ludzie wcale o tem nie wiedzieli.

W roślinach z mięsistymi owocami, słupek rozrasta się z dniem każdym, traci zieloną barwę i twardość, owoc dojrzewa, mówimy, a wraz z nim dojrzewają nasiona.

W innych znów roślinach przeciwnie, słupek dojrzewając, z dniem każdym traci swoją jędrność, soczystość, np. strąk grochu. W orzechach znów drewnieje i tworzy łupinkę, którą aż tłuc trzeba aby dostać się do smacznego nasienia.

Nie wspomnieliśmy dotąd o pestkowcach, czyli o owocach z pestką, np. wiśnie, śliwki, morele, brzoskwinie. Tutaj słupek drewnieje od środka, po wierzchu zaś mięknie i zamienia się w bardzo soczysty owoc; pestka zatem nie jest jakąś osobno wytworzoną skorupką ochronną dla nasienia. Bynajmniej, to ten słupek tak różne potrafi przybierać postacie, że raz można nim w piecu palić, to znów cały zgnieść w palcach, to znów pod mięką powłoką znaleźć tak twardą i do tego w różne wyrostki opatrzoną skorupę, jak naprzykład w brzoskwini.

A. M.

W pustyniach Australii.

PRZEZ

Władysława Umińskiego.

(Dalszy ciąg).

Rzeczywiście, była to droga najkrótsza i najwygodniejsza. Karawana, zamiast przedzierać się przez kolczaste i gęste zarośla, pokrywające stoki Dividing Range i wymijając z trudnością rozpadliny, szła po grubym zwirze, w niegłębokiej i przezroczystej wodzie, która pozwalała widzieć dokładnie dno i unikać rozsianych tu i owdzie głazów.

Wielbłądy nie chciały z początku kroczyć tak niezwykłą dla siebie drogą, ale niebawem uległy i stawały odważnie nogi w szumiące wody bystro płynącej rzeki. Napotkawszy kaskadę, karawana obchodziła ją, opuszczając na chwilę łożysko, które ku źródłom było daleko dostępnejsze, aniżeli poniżej.

Dzicy, idąc, nie zapominali wcale o swoich żołądkach; zapuszczając swój bystry wzrok w nadbrzeżne zarośla, co moment dostrzegali coś zdatnego do zjedzenia.

Przy pomocy patyków nadzwyczaj zręcznie wyławiali raki ze strumienia, to znów wygrzebywali jaja iguanów *) z nadbrzeżnego piasku, nie gardząc także larwami owadów, które znajdowali na pniach drzewnych, obalonych powodzią, lub pomiędzy gałęziami akacyi, rosnących nad rzeką.

Doktor, chciwy nowych nabytków, kazał sobie pokazywać owe smakołyki i odkupywał niektóre z nich za szczyptę tytoniu.

Australczycy namiętnie lubią ten narkotyk; dla pozyskania go znosili więc na wyścigi gąsienice, poczwarki i rozwinięte owady, wybierając największe i najtłuszcześniejsze.

Dziwiło ich wszakże, że doktor chował to wszystko do swych pudełek, zamiast zjeść odrazu; nie mogli także zrozumieć, dlaczego przekładał często małe i niepozorne okazy nad duże i smaczne.

Halm z zazdrością patrzył, jak dzicy, z cudowną przenikliwością, wyszukiwali owady w miejscach, gdzieby się nikt nie domyślił ich obecności.

— Ach! — zawołał nagle — gdybym potrafił myszkować po dziurach tak, jak oni, to zapewne zostałbym najsłynniejszym z pomiędzy wszystkich entomologów świata całego. Serce boli mnie na myśl, że te bydlęta codziennie mają w ręku jaki rzadki okaz, nie uniejąc się na nim poznać.

— Oceniają oni bardzo trafnie wartość każdego owadu, lecz ze swego stanowiska smakoszków — odparł Jerzy, śmiejąc się z ubolewań entomologa.

— Bo też prawdziwie niewiedomo, po co pan zbiera tyle robactwa, — odezwał się Bob, zwykle małomówny i mrukiwy; — psu na budę nie zdała się taka robota! — dodał, spluwając z obrzydzeniem.

W odpowiedzi na tę zuchwałą uwagę, Halm rzucił staremu górnikowi zjadliwe spojrzenie i wzruszył pogardliwie ramionami.

Być może, iż nie potrafiłby on zdławić swego oburzenia, gdyby nagle zatrzymanie się Dugana, jadącego na czele, nie odwróciło jego uwagi w inną stronę.

— Co tam? — zagadnął Abel, wspinając się na siodło, aby lepiej widzieć.

— Nie możemy się dalej posuwać, — odparł Dugan.

— Dlaczego?

— Koryto strumienia zwęziło się do tego stopnia, iż wielbłądy nie zdołają się niem przecisnąć; trzeba się cofnąć.

— Pin'garo nie spisał się więc wcale, — rzekł Jerzy.

*) Gatunek wielkiej jaszczurki wodnej.

— Głupiec! — zawołał z gniewem Artur; — jemu się zdaje, że przejdziemy wszędzie za nim. Taka to już logika czarnych.

Zacząto się więc cofać, gdyż nie podobna było zawrócić pomiędzy skalistymi ścianami, odległymi o sześć ledwie jedna od drugiej. Tom i Bob kleli, na czym świat stoi i wygrażali pięściami przeleknionym murzynom; Hop, siedzący obok Jerzego, ujadł głośno, widząc to zamieszanie. Jeden tylko Abel zachował spokój i usiłował bronić swych współziomków przed towarzyszami.

Wydobywszy się z niemałą stratą czasu z tej pułapki, karawana opuściła łożysko strumienia i, przebiwszy sobie drogę pomiędzy gąszczem palm, rotangów i kolczastych krzewów, zarastających oba brzegi, znalazła się na łagodnej pochyłości, tuż u stóp wysokiej, skalistej ściany, na której wspierały się szczyty Dividing Range.

Z tego wzniesionego punktu widać było, jak na dłoni, niedawno przebytą równinę, podobną teraz do olbrzymiego kobierca zieloności, poprętykanego licznymi, srebrnymi nitkami potoków, raz błyszczących w słońcu, to znów niknących pod osłoną bujnej roślinności.

— Którędyż chcieli nas przeprowadzić dzicy? — zagadnął Jerzy, rozglądając się.

Dugan, nie wiedząc dokąd się obrócić, przywołał do siebie przestraszonego pogromcę węża i zadał mu kilkanaście pytań.

— Jesteśmy na dobrej drodze! — zawołał; — o sześć mil stąd na południe znajduje się wąwóz, przez który można się przedostać na tamtą stronę łańcucha.

Ruszono więc wzdłuż olbrzymiego muru bazaltowego, z którego wierzchołka z głośnym szumem spływały liczne kaskady, napełniające powietrze ożywczą wilgocią.

Po czterogodzinym, uciążliwym pochodzie pomiędzy odłami skalistymi, oczom naszych podróżnych ukazała się niespodzianie, kolosalna szczyba w niebotycznej ścianie.

Było to wejście do wąwozu, który, wedle zapewnień czarnych, prowadził aż na zachodnie stoki Australskich Kordyljerów.

Karawana śmiało zapuściła się w labirynt urwisk, które sterczały zewsząd groźnie, jak gdyby się miały zwalić za najlżejszym wstrząśnieniem. Bob z Tomem, idąc na przedzie, wskazywali drogę, za nimi postępowały wielbłądy, wiedzione za uzdę przez jeźdźców.

Biedne zwierzęta drżały całym ciałem, zatrzymując się co chwila; trzeba było dodawać im odwagi klepaniem po szyi i pieszczotliwymi wyrazami, które one doskonale rozumiały.

Dno wąwozu, zarosłe lnem nowozelandzkim i pełzającym zielskiem, wznosiło się powoli pod górę; ściany schodziły się coraz bardziej; ponad głowami naszych podróżnych wisiały fantastyczne arkady, mosty, rzucane przez naturę, po nad tą szparą olbrzymią, biegnącą wpoprzek stromego łańcucha.

Karawana nie cofała się przed niczem, byle tylko przebyć raz ten mur, odgradzający ją od niezmiernych równin zachodnich, które ciągnęły się het, daleko aż do tajemniczych okolic, będących celem jej podróży.

Był to prawdziwy pochód Hannibala przez Alpy, przedsięwzięcie zuchwałe, zdolne odstraszyć każdego, ale nie Dugana.

Słońce zapadało już poza szeroki widnokrąg, kiedy nasi podróżni, po długim błędzeniu w chaosie skalistych złomów, którymi zarzucony był wąwóz, wydostali się nareszcie na zachodnie stoki Dividing Range, daleko mniej strome od wschodnich.

Utrudniająca przeprawa wyczerpała siły nie tylko zwierząt, ale i ludzi; przenocowano więc na tych wyżynach, o 1200 metrów nad poziomem oceanu, w niewielkiej grocie, którą czarni wskazywali Duganowi.

Przez cały dzień następny, od samego rana, lał straszliwy, prawdziwie australski deszcz, który w przeciągu kilku godzin zamienił drobne strumyki górskie w szalejące potoki, toczące z łoskotem głazy w swych spienionych wodach. Cier-

piąc dotkliwy chłód, wyprawa musiała rozpaść u wejścia do jaskini wielki ogień, który napełnił niebawem całe jej wnętrze gryzącym dymem, tamującym oddech; w tej wędzarni przepędzono aż dwie noce z rzędu, które się dały wszystkim we znaki.

Obecność czarnych, których brudne ciała wydawały dla nieprzyzwyczajonych nosów woń nieznośną, czyniła pobyt w grocie jeszcze przykrejszym.

Obudziwszy się znów 18 listopada, nasi podróżni przekonali się z radością, iż niebo zachmurzone jeszcze przed północą, wypogodziło się prześlicznie.

Po ulewie nie pozostało żadnych śladów; potoki opadły, równie szybko jak i weszły, rozmokła ziemia wyschła w przeciągu kilku godzin pod działaniem podzwrotnikowego słońca, ptaki, opuściwszy swe kryjówki, poczyniły się odzywać. Otucha wstąpiła w serca wszystkich. Osiedlano więc konie i wielbłądy i zaczęto się opuszczać w niziny prawym brzegiem strumyka; który, według przypuszczeń Dugana, był jednym z mniejszych dopływów rzeki Flindersa, wpadającej do zatoki Karpentaryi.

Krajowcy szczerze obdarzeni tytuniem, nie chcieli jakoś rozstać się z podróżnymi; po krótkiej naradzie podążyli wślad za karawaną.

Dugan, nie mając zamiaru żywić swoim kosztem tej zgrai żarłoków, która niebawem ogołociłaby go ze wszystkich zapasów, oświadczył im stanowczo, że mogą sobie iść z Bogiem; czarni jednak nie wzięli wcale do serca dość niegrzecznej odprawy.

— Borbobi, borbobi! — powtarzali, machając w powietrzu dzidami i małemi, owalnymi tarczami.

— Nie pozbedziemy się ich tak łatwo, — rzekł Dugan, zrozumiałszy odpowiedź czarnych; udają się oni bowiem na borbobi. Nie wiesz zapewne doktorze, iż wyraz ten oznacza turnieje; Australczycy są w ogóle bardzo spokojni i rzadko prowadzą wojnę. Nieporozumienia załatwiają pomiędzy sobą co pewien czas na ogólnych zebraniach, w których bierze udział po kilka, a nawet kilkanaście pokoleń. Na takich borbobi odbywają się pojedynki pomiędzy osobami, żywiąceni względem siebie jakieś urazy.

Otoż towarzyszący nam dzicy dążą na borbobi, które będzie miało miejsce, jak się domyślam, gdzieś, niedaleko stąd, na naszej drodze.

— Czy widziałeś wuju, kiedykolwiek podobną uroczystość? — zagadnął Jerzy, którego zainteresowały słowa Dugana.

— Parę razy — mój chłopcze.

— Więc oni biją się tam naprawdę?

— Zupełnie serjo, na ostro. Czasami występują do walki dwa pokolenia; wtedy jest na co patrzeć.

— Jakżebym pragnął być świadkiem takiej dużej bitwy pomiędzy dzikimi! — westchnął chłopiec.

— Nie zupełnie to bezpieczna rozrywka, — odparł pan Artur, uśmiechając się pod wąsem; — pamiętam, że ostatnim razem o mało co nie zostałem zjedzonym przez kannibalów; otoczyli mnie już, wrzeszcząc, że mają mięso ludzkie — *talgoro*. Jeżeli uszedłem cało z borbobi, zawdzięczam to jedynie czarnemu, który mi wtedy towarzyszył.

— Ja tam słyszałem, że krajowcy nie lubią mięsa białych, bo jest przesiąknięte solą, — wtrącił Tom.

— Rzetelna prawda, — dorzucił Bob. — Pamiętam pięć, czy sześć lat temu pojechaliśmy szukać złota w nowoodkrytej, kopalni, w towarzystwie dwóch Chińczyków. Raz na placetce podczas roboty napadli na nich czarni, zabili i zjedli z apetytem. Nawet szpik z kości powysysali. Zdziwiliśmy się, że trupa pewnego Irlandczyka, który także padł wtedy, nie ruszyli wcale, jeno obdarli go i wrzucili do potoku.

Kiedyśmy nazajutrz po napadzie przyszli na miejsce, gdzie murzyni biesiadowali, to aż się nam niedobrze zrobiło...

POLOWANIE NA DZIKA.

Do rycerskich rozrywek, w jakich szczególnie gustowano dawnymi czasy, zaliczano bardzo słusznie, gdyż z niebezpieczeństwem połączone łowy na dziką świnie, czyli tak zwanego dzika. Zwierzę to, różniące się od naszej trzody większym znacznie wzrostem i długą, czarną, sterczącą szczeciną, ma u pyska ostre, na wierzch wystające kły, broń zarówno straszną dla ludzi, jako i zwierząt; niemi bowiem dzik, widząc się w niebezpieczeństwie, rozdziera jednym uderzeniem wnętrzości napastnika. Zanim broń palna weszła w powszechne użycie, myśliwi idąc na „odyńca”, jak go w swym języku nazywali, zabierali z sobą liczną zgraję silnych i zajadłych a umyślnie w tym celu hodowanych psów, sami zaś uzbrajali się jedynie w oszczepy i kordelasy. Gdy wytropionego dzika psy zawzięcie goniąc, dopadły wreszcie,

uczepiały się mu przedewszystkiem około szyi i pyska czyniąc go w ten sposób bezbronnym; z chwili tej spiesznie korzystał myśliwy, wskazując na niego jak na konia z kordelasem w rękę, którym zadawał mu cios śmiertelny, pchnąwszy go w serce, czyli tak nazwaną w języku myśliwskim: „komorę”. Inaczej dzik się rzucał na niego i rzadko kiedy z pod jego kłów wyszedł żywy. To też urosło myśliwskie przysłowie: „Jeżeli idziesz na niedźwiedzia gotuj łożko; jeżeli idziesz na dziką, gotuj mary.” Łowy te jednak, dziś już z bronią palną mniej niebezpieczne, stają się coraz rzadszemi, bowiem w niektórych już tylko okolicach Europy, ostały się te zwierzęta przed postępującą coraz dalej kulturą. W niewielkiej ilości spotykane są jeszcze we Francji, w Niemczech, na Bukowinie i w starych lasach naszych; to też może niedaleką jest chwila, w której polowania na dziki należeć już będą tylko do historycznych wspomnień.



GÓRSKIE ZAMCZYSKO

opowiadanie z XV wieku.

P. ZUZANNĘ MORAWSKĄ.

(Dalszy ciąg).

Babula drgnęła i podniosła wzrok na mówiącego, w trosce nie zwróciła uwagi na obcego przybysza, w którym nie nadzwyczajnego w ogóle nie widziała. Był to zapewne jeden ze strzelców, jacy czasami pojawiali się nad jeziorem. Strzelców takich było w górach niemało, jednych utrzymywał biskup Salzburski, drugich panowie okoliczni, inni znów włóczyli się po lasach na swoją rękę, zabijając dzikiego zwierza i ptactwo, które potem w dalekie rozwozili strony. Ci ostatni trudnili się też rozbojem, napadali na karawany kupieckie, rabowali je, to znów wynajmowali się baronom i służyli im podczas walk, które w owym czasie możni panowie prawie ciągle staczali z sobą. Strzelec wszakże który się odezwał jakoś inaczej trochę wyglądał, chociaż ubiorem nie różnił się od tych, których zwykle spotykano. Miał również wysokie, obciążone rzemieniem aż powyżej kolan skórznie, dalsze odzienie z cienkiego szarego sukna, na szwach i na siedzeniu skórą naszyte, kurtkę obcisłą, wysoko pod górę zapiętą z długimi rękawami, za pasem skórzany nóż myśliwski i kilka strzał, wyglądających z przytwierdzonego u lewego boku sajdaka, na prawem zaś jego ramieniu kołysał się łuk niewielki ale misternie wyrobiony z napiętą cięciwą. Mowa jego była też odmienna nieco od rybackiej, łatwo ją jednak rozumiano. I dźwięk głosu był nieco inny, ale nikt tam na to nie zważał, tylko babula głos ten usłyszawszy, podniosła oczy i zdało jej się, że strzelca tego już kiedyś widziała... Chciała mu więc swoją troskę opowiedzieć, wyciągnęła ku niemu ręce, ale on nie pytał o nic więcej, nie

słuchał nie zgoła, jeno oddalił się spiesznie zmierzając ponad brzegiem jeziora ku sterczącym, niebotycznym skałom.

W gwałtownych jego ruchach znać było człowieka przyzwyczajonego do ciągłego chodzenia, szedł zaś tak szybko po stromej ścieżce nad jeziorem jak inny nie podąży na równej drodze i tylko łuk jego kołysał się z lekka, migając w coraz wyżej wznoszących się promieniach słońca, a główki strzał błyszczały wyglądając nieco z sajdaka. Szedł tak przyspieszonym krokiem, kryjąc się lub wychodząc z załomu skał; kilka razy ukazało się jeszcze jego wielkie orle pióro zatknięte za szeroki kapelusz i wreszcie jak nagle się zjawił, tak też i szybko znikł z przed oczu patrzących.

— Oho, mój Bogum musi się znaleźć, musi! — zawołała babula, budząc się nagle z jakiegoś odrętwienia, w którym chwilę pozostawała, patrząc za oddalającym się strzelcem.

— No, toć i my idziemy go szukać — rzekł Kilian — a może choć topielca wydestaniemy — dodał ponuro.

— Nie, on żyje, on ocalony — zawołała babula.

Wtem wrócił Krystyan i zasmucony stanął opodal.

— A co, a co? — zawołała z drżeniem stara kobieta.

— Nie znalazłem go, nie było go na wyspie — odrzekł chłopak.

— Nie było go! no, ale on być musi! — wołała wyciągając ręce. I nie słuchając nic dalej, nie patrząc na nikogo, powlokła się do swej pustej chaty.

Krystyan tymczasem przybliżył się do stojących rybaków i rzekł:



Polowanie na dzika.

— Widziano na św. Bartłomieju jego łódkę, jak na wielkiej toni walczyła z burzą, potem jakaś łódź pusta przypląnęła do wyspy, pochwycili ją, mocno pogruchotana — dodał smutnie zwiesiwszy głowę.

— Utonął biedaczysko! — rzekł Anzelm.

— Ha, toć nie on pierwszy! — dodał Kilian.

— Ha, taki to już los rybaka — ozwał się Daniel.

— Z tem wszystkim trzeba poszukać jego ciała. Niechaj stara chociaż tę ma pociechę, że go ucziwie po chrześcijańsku pochowa — dodał Wilhelm, i każdy z rozmawiających poszedł do łodzi, umawiając się jak i gdzie będą zastawiać sieci i zastawiając szukać ciała zaginionego chłopaka.

I życie znowu popłynęło zwykłym trybem wśród rodzin rybackich.

Ci co popłynęli na poszukiwanie Boguma nie wracali i nie znalazłszy go zajęli się łowieniem węgorzy i łososi dziejonych, oraz mniejszych rybek do poszukiwania których właśnie miesiąc czerwiec był najpodatniejszy. Inni wypróżnieni sieci pojechali do Salzburga i do innych miast, kędy przybawajacy z dalekich stron kupcy, kupowali właśnie teraz świeże ryby, podobnie jak w zimie chętnie nabywali wędzone. Babula odtąd milcząca codziennie siadała nad jeziorem i wpatrywała się w ton jego. Obojętnie znosiła żarty brutalne Grypa, najchętniej zaś rozmawiała z dziećmi, które ją zwykle otaczały. Wypytywała Krystyana ilekroć przybił do brzegu, czy czego o jej chłopcu nie posłyszał, zdawała się na coś oczekiwać, była nawet dosyć spokojna. Gospodarstwa w chacie prawie żadnego nie prowadziła, żywiła się tem, co jej litościwa ręka sąsiadów podała i powtarzała uparcie:

— Nie zginął, wrócić musi, wróci...

Tak zaś tę wiarę uniała wpoić w małą Gutę, że i ta odkładała czasem lepszy kąsek jadła, udatniejszy podpłomyk, lub pióro które w przelocie około jeziora ptak uronił, mówiąc:

— Trzeba to schować dla Boguma.

Babula mimo swego spokoju, chodziła kilkakrotnie do Salzburga do urzędu, ale cóż urząd mógł poradzić, toć utonięcie rybaka było rzeczą tak zwykłą, jak spadnięcie ze skały strzelca. Nie zadawano więc sobie pracy i wreszcie kazano starą wyprowadzić za wrota. Dotarła nawet do Jego Exscelencji biskupa. Biskup wysłuchał jej łaskawie, a chociaż część jeziora Königsee, do dóbr jego należała i przyjmował od rybaków przynależną daninę, nie mógł jednakże nakazać burzy, żeby nie szalała, wodom aby się rozstąpiły i oddały ciało utopionego,

Wreszcie polecił również aby nie wpuszczano więcej biednej kobiety, którą w ogóle miano za pozbawioną zmysłów. I nad jeziorem też widziano, że babuli miesza się coś w głowie; nie zważano więc prawie na nią, aliści jednego dnia nie zjawiła się wcale w osadzie.

Guta pobiegła do jej chaty, zastała drzwi na rozcież otwarte, w chacie nie było nikogo, wróciła więc do domu wołając:

— Matko, babuli niema.

— No to i cóż? — odparła. — zabierz się prędzej do roboty!

Guta zamiotła izbę i zajęta przez dzień cały, nie mogła iść do chaty babuli, aż dopiero późnym wieczorem dostawszy od matki trochę polewki, pobiegła zaniesć ją starej swej przyjaciółce. Wróciła jednak stawiając pełny garnuszek na kominie.

— Niema babuli — szepnęła.

— Idź spać! skaranie Boże z tą dziewczyną, mam swoich kłopotów dosyć — mówiła nadąsana kobieta. — Nie zginie, nie zginie, złe jej nie weźmie — dodała na pół do siebie.

Od czasu bowiem owej rozmowy z Grypem, coraz więcej utwierdziła się w przekonaniu, że babula ma jakieś nieczyste sprawy i ze złem żyje w przyjaźni.

Guta zapędzona spać przez matkę śniła ciągle o burzy i rozmaitych niebezpieczeństwach, wśród których przebywał

Bogum i babula, zaraz też na drugi dzień, gdy ojciec i Krystyan z jeziora wrócili, pobiegła do nich wołając smutnie:

— Babula gdzie się podziała!

Ojciec kiwnął głową i nic jej nie odrzekł, ale Krystyan, gdy tylko wyniósł na brzeg obfity połów, zaraz pobiegł z Gutą do chaty.

Babuli nie było.

I znowu gruchnęła wieść, że babula zginęła. Drzwi pustej chaty sąsiedzi podparli drągiem i mieli na oku, żeby się kto obcy w niej nie rozgospodarował i ubogiego nie zabrał mienia.

BABULA.

W północno-wschodniej stronie jeziora Königsee, pasmo gór wspaniałych wznosi się amfiteatralnie nad niższemi, zielonością porośłemi szczytami. Stanowiły one jakby niedostępny wał, odgraniczający posiadłości biskupów Salzburgskich od ziem baronów, których zamki wznosiły się u stóp Alp bawarskich, a częstokroć sterczały dumnie wśród niższych skał, mając z ich rozpadlin i szczytów naturalną obronę. Baronowie ci bowiem oddawna już jako i w XV wieku prowadzili z sobą walki, zakładali więc siedziby w miejscach jak najmniej dostępnych.

Dla mieszkańców dolin a tem więcej dla rybaków, zamki te, były jakimiś olbrzymami, o których częstokroć krążyły najrozmaitsze powieści. Nawiedzali oni tylko Salzburg mniejszy, który jako posiadłość biskupa nie mógł być przecie siedliskiem złych duchów, jakie w ich wyobraźni kryły się w owych górskich zamczyskach. Z rybami szli w doliny, do miast częstokroć bardzo odległych i tam łatwy na nie zbyt znajdowali. Nic ich więc z owymi zamkami nie wiązało, oddzielało zaś wysokie pasmo gór, a najwyższą z nich sięgającą prawie obłoków, nazwali Dyablą górą.

Tak, Dyabla, bo jeżeli całe pasmo było najeżone skałami, to już do szczytu Dyablej góry z pewnością nikt się nie mógł przedostać. Był on ze wszech stron niedostępny, bo i niższe nawet stoki pokrywała zieloność zbita w taką gęstą jednolitą ciemną ścianę, przez którą człowiek nawet przy pomocy siekiery przedrzeć się nie mógł. W miejscach zaś gdzie krzewia rzędziały i zdawało się, że widać się ścieżki, po których nitylko stopy pojedynczego człowieka, ale całe szeregi i hufce mogłyby się wędrczyć; były to wszakże drogi, które już niejednego o śmierć lub kalectwo przyprawiły. Jeżeli bowiem jaki śmiałek z pomiędzy rybaków odważył się próbować przejść przez nie, przepadał bez wieści, lub w najlepszym razie, powracał poraniony, w poszarpanej odzieży, powiększając jeszcze grozę opowiadaniem o fantastycznych widziadłach, któremi wyobraźnia ludzka zapełniała te niedostępne miejscowości.

Drożyny te bowiem były tak ślizgie, iż najsilniejsze nogi nie mogły się na nich utrzymać, miejscami znów najeżone drobnymi jak siekańce kamieniami, które z początku osuwały się za każdym stąpieniem, lub pod ciężarem stóp ludzkich zagłębiały w nieznaną a bezdenną jakąś przepaść, z której trudno się było wydostać.

Trawy tu osłizły pewnie od krwi, zaciągniętych w te miejsca przez złe duchy ofiar które następnie dyabli również wciągnęli do przepaści. Jeżeli zaś komu udało się przebyć je szczęśliwie, to natrafiał na sterczące groźnie skały, do wdrapania się na które ani obuwie nabite gwoździami, ani okute żelazem kije dopomódz nie mogły.

Najśmielsi nawet strzelcy nie zapędzali się chyba na te skały.

A skały sterczały dumnie nad wielkiem jeziorem jako baszty zakłętogo zamczyska.

Mimo to opowiadano, iż spotykano tam ślady życia i dotąd między ludnością pojeziorza najdziwaczniejsze krążyły wieści.

Były to opowiadania o zakętym skarbie na samym wierzchołku góry. To znów o królewiczu, któryby chętnie

oddał połowę swego obszernego państwa, byleby znalazł się ktoś odważny, toby mu dopomógł do rozwalenia ziejącej wiecznym ogniem ogromnej pieczary, gdzie go jakaś zła wróżka od samego przyjscia na świat osadziła.

(d. c. n.)

CUDOWNA WYSPA

Najnowsza powieść Juliusza Verne'a

przekład M. D.

(Ciąg dalszy).

Uprzejmi koledzy spieszą na ratunek nieposiadającemu się ze złości wiolonczeliście, pomagając mu stanąć na nogach, gdyż sam, z ogromnym swym instrumentem próżne, a komiczne robił ku temu wysiłki. Usłużny Francolin ofiaruje się nieść dalej jego wiolonczelę; Sebastyan zrazu nie przyjmuje tego dowodu życzliwości ze strony kolegi, bo jakże to zresztą rozłączyć się artyście ze swym ukochanym instrumentem, który jest przecie jakby połową jego samego; ustąpił jednak w końcu, i ta cenna jego połowa, przechodzi na plecy czynnego Francolin'a, wzamian któremu biedny dyrektor niesie dalej lekkie skrzypce. Teraz już rażno spieszą naprzód, lecz przy coraz ciemniejszej nocy poczyna padać deszcz kroplisty; czara jednak pięknej Hebe Yvernes'a nie wylewa całej swej zawartości, więc podróżni mają nadzieję dostać się za godzin parę do Freschal zdrowo i sucho. Mimo tego ciągną baczność okazuje się konieczną, gdyż droga, którą podążają, nadzwyczaj jest nierówną, zawałoną kamieniami i pniami odwiecznych drzew; nierzadko też szumią w przepaściach tuż u jej brzegów głębokie, rwące strumienie. Yvernes ze swym poetycznym usposobieniem znajduje to położenie bardzo zajmującym, Francolin jednak przeciwnego jest zdania, tym więcej, że w takim miejscu, wśród ciemnej nocy nie trudno o spotkanie z jaką bandą złoczyńców, a oni nie mają nic do obrony, chyba jedynie smyczki od skrzypiec i wiolonczeli, która to broń zaiste i przeciw najsłabszemu nawet nieprzyjacielowi na zbyt byłaby kruchą. Nieostrożność taką popełnić mogli tylko Europejczycy; prawdziwy Yankes nie wybrałby się w podróż nawet koleją żelazną z San-Francisco do San-Diego bez zaopatrzenia się w doskonały kilkostrzałowy rewolwer. „Jego Excelencya” tymczasem nie traci fantazyi, a idąc naprzód i torując jakoby drogę reszcie towarzystwa, robi sobie od czasu do czasu przyjemność zaniepokojeniem kolegów, staje więc i drżącym, jakby z przestachu, głosem mówi:

— Tam, tam w dali spostrzegam coś niezwykłego, bądźmy gotowi do obrony, przyjaciele.

Ale gdy droga zagłębiła się w gąszcz leśny, gdy nasi podróżni znaleźli się wśród odwiecznych, pod obłoki sięgających drzew, tych prawdziwych mamutów—olbrzymów świata roślinnego, gdzie każdy pień więcej dziesięciu ludzi gotowych do napaści podróżnego zakryć może, mimowolny lęk jakiś opanovał nieszczęsnych artystów, zamilkł nawet żartobliwy Ponchard.

Nagle „Jego Excelencya” staje nieruchomo, Francolin, który idzie tuż za nim, czyni to samo, więc dwaj pozostali zaniepokojeni zbliżają się szybszym krokiem i pytają:

— Cóż tam nowego, czy widzicie kogo?

— Może to tylko tak mi się zdawało — odpowiada cichym głosem „drugiego skrzypka.”

Lecz nie jest to przywidzenie żadne, faktycznie bowiem postać postać jakaś poruszała się wśród drzew, widzą to teraz wszyscy.

— Czy to postać ludzka, czy też zwierzęca — wypytuje dyrektor — jak ci się zdaje Francolin?

W mroku nie mogę dojrzeć — odpowiada tenże.

Trudnem byłoby jednak zadecydować biednym artystom jakie spotkanie mniejszą przejmowałoby ich obawą, bo zarówno zły człowiek, jak i zwierzę dziki tylko im złe wyrządzić mogą. Stanęli tuż przy sobie, tworząc zbitą grupę, aby to bliższe sąsiedztwo dało im możność łatwiejszej obrony przed nieprzyjacielem.

Tymczasem światło księżycy, przedzierające się przez chmury, rzuciło trochę światła na gąszcz leśny i ukazała się wyraźnie postać olbrzymia, którą już teraz w żaden sposób wziąć nie było można za człowieka. Tak, z pewnością było to zwierzę, ale jakie? Może drapieżne, napewno drapieżne — myślał sobie każdy z tych biedaków bezbronych.

— Jest to, jak się zdaje, tegoczesny mamut — szepcze Yvernes.

— Co chcesz przez to powiedzieć — mówi Sebastyan głosem cichym, lecz mocno zirytowanym — nic ciebie nie rozumiem z twym tegoczesnym mamutem.

— Jest to zwierzę, które od przedpotopowych mamutów pochodzenie swe wywodzi, a jest niem niedźwiedź — tłumaczy Yvernes, którego dobry humor i w tej nawet chwili nie opuścił.

A tak, to niezawodnie będzie niedźwiedź — potwierdza Francolin.

I rzeczywiście niezgrabne, kudłate kształty tego zwierzęcia, olbrzymiego gatunku, coraz wyraźniej zarysowują się przed oczami wylęknionych podróżnych. W lasach Niższej Kalifornii nie ma obawy spotkać się ze lwem, tygrysem, lub panterą, z dzikich zwierząt żyją tam jedynie jeszcze niedźwiedzie. Jednak spotkanie z niemi nie można zaliczać do przyjemności, choć bo nie zna strasznych historii, kreślących nam obraz rozpaczliwej walki człowieka z niedźwiedziem. To też nasi Paryżanie jednomyślnie chcą mu ustąpić z miejsca, uważając go z całą słusznością za pana tych pustych obszarów. Oby jednak ich odwrót nie przedstawił się zwierzęciu jako tchórzliwa ucieczka i tem go do napaści więcej nie ośmielił, cofają się powoli w tył, mając go tym sposobem zawsze na oku.

Zwierzę również powoli, ale miarowym krokiem, idąc na tylnych łapach, podąża stale w ich kierunku; zbliża się już nawet o tyle, że wyraźnie słyhać groźne jego mruczenie, przerywane od czasu do czasu szczękiem uderzających o siebie zębów.

— Musi być głodny i podrażniony — zauważył cicho Ponchard.

— A gdybyśmy się rozproszyli i każdy z osobna szukał bezpieczeństwa — radzi „Jego Excelencya.”

— Byłoby to szaleństwem, bo w takim razie jeden z nas stałby się napewno łupem zwierzęcia, odpowiada Francolin.

Trafność tej uwagi jest każdemu widoczną, więc w zbitej tak gromadce posuwają się dalej naprzód; niestety jednak idą tak powoli, że zwierzę ma już do nich zaledwie kroków kilkanaście. Jakżeż tu czekać dłużej na gwałtowny napad takiego siłacza, to też ten i ów myśli już o spiesznej ucieczce, gdy cichy, lecz pewny siebie głos „drugiego skrzypka”, zatrzymuje ich jeszcze na miejscu.

— Spokoju i zimnej krwi, przyjaciele! — mówi do nich.

Nagle cisza leśna napełnia się przejmującym, głębokim i pełnym uczucia „Largo”, w którym dusza artysty odbija się cała. To Yvernes wyjąwszy z pudła swe skrzypce, każe im śpiewać pieśń pod zaklęciem czarownego swego smyczka. Myśl to prawdziwie genialna, bo i dla czego muzycy nie mieliby szukać ocalenia w sztuce, która jest ich siłą? Czyż kamienie poruszane śpiewem Amphiona, nie układały się same w gruby mur około zagrożonych Teb? Czyż dzikie zwierzęta oswojone lirycznym natchnieniem piewcy, nie leżały ciche i spokojne u nóg boskiego Orfeusza?..

Lecz cóż to? i niedźwiedź ten kalifornijski zdaje się ulegać tym samym czarom, jakim się poddawały jego pobratymcy w bajecznych czasach historii.

Stopniowo bowiem rozdrażnienie, tak widoczne z początku ustępuje i chociaż za cofającym się powoli kwartetem zwierzę idzie dalej, groźne jego mruczenie zastąpiły teraz oznaki wielkiego zadowolenia, zda się, mało brakuje, by jak jaki meloman sztuki, nie dziękował lucznyimi oklaskami za tak piękną muzykę. Jeszcze kwadrans drogi, a artyści nasi znajdują się już na skraju lasu, gdzie zatrzymują się chwilę, przy ciągle melodyjnie dźwięczących skrzypcach Yvernés'a; niedźwiedź tymczasem nie zdradza chęci do dalszego pościgu, przeciwnie, stojąc na tylnych łapach, przednimi macha niezgrabnie, lecz miarowo, z taktem muzyki. Natenczas Ponchard dobywa także swój instrument z pudła i zcicha komenderuje.

— Taniec niedźwiedzi! żwawo przyjaciele!

W jednej chwili zahuczały znane dźwięki oryginalnej tej muzyki, powtarzanej wielokrotnie po wędrownych cyrkach. I rzecz dziwna, zaraz po przegrywce zwierzę poczęło na niezgrabnych swych łapach obracać się, przechylać, słowem, najkomiczniejsze wyprawiać gesta, z czego korzystając podróżni, spieszenie podążyli w dalszą drogę.

— Zaiste, śmieszne to, ale pewną zda mi się rzeczą, że nasz straszny napastnik, to tylko oswojony niedźwiedź z mezażeryi.

— Trzeba jednak przyznać, że Yvernes miał klasyczny pomysł z tą muzyką.

— Uchodźmy teraz w tempie „alegretto” nie oglądając się poza siebie — radzi pierwszy skrzypek.

Z wielką ochotą reszta towarzystwa przyjmuje tę myśl praktyczną, lecz mimo przyspieszonego kroku jest już godzina piąta, gdy dochodzą wreszcie do upragnionego celu tej nocnej wędrowki. Spostrzegają też od razu, że jest to wioska dość nędzna, składająca się ze czterdziestu może drewnianych domów, rozstawionych w około placu, zacienionego starymi bukami; w głębi widnieje dzwonnica skromnego kościołka. Jest to więc jedna z owych nadbrzeżnych osad, spotykanych dość często w tym kraju. Strudzeni podróżni zatrzymują się wśród zabudowań pogrążonych w ciszy nocnej i naradzają się co dalej czynić im wypada.

— I to ma być wieś! — mówi z niechęcią Ponchard.

— Czy spodziewałeś się znaleźć tu coś w rodzaju Filadelfii albo Nowego-Yorku — sprzeciwia się Francolin.

— Ależ ona śpi snem sprawiedliwych, ta wasza wioska! — mówi Sebastyan, wzruszając z niezadowoleniem szerokimi ramionami.

— Nie budźmy śpiącej wioski! — wzdycha melancholijnie Yvernés.

— Przeciwnie, obudźmy ją co najprędzej! — woła rezolutnie Ponchard — inaczej bowiem możemy tak czekać głodni i znieczeni aż do rana. Zdaje się, że zaklęty pałac „Śpiącej królowej” z bajki, mógłby stać tu najspokojniej, taka pustka i cisza w około, ani odrobiny światła w żadnym oknie, ani jedna okiennica nie uchylona.

— A oberża! gdzież ta oberża — pyta Francolin, rozglądając się w około.

Tak, oberża, o której mówił woźnica, gdzie spodziewali się nieszczęśliwi znaleźć gościnnie przytułek i ten oberżysta, który miał spieszna pomoc dać leżącemu tam na drodze

z wywichniętą nogą, czy to wszystko było snem tylko, halucynacją jakąś u tego biedaka? Albo może dyrektor i jego towarzysze zabłądzili w tych stronach obcych sobie zupełnie; może ta miejscowość nie jest wcale Freschal'em. Pytania te bez odpowiedzi tymczasem, tłoczyły się do myśli stojących dotąd nieruchomo podróżnych. Zrozumieli jednak prędko, że aby zasięgnąć wiadomości pewnych, trzeba rozmówić się choćby z jednym mieszkańcem wioski, trzeba więc stukać do drzwi i zbudzić kogo, a przedewszystkiem starać się odnaleźć zapowiedzianą oberżę. W tym celu każdy na swą rękę idzie obejrzyć zbliżka wszystkie domki; niestety, żadnego śladu, ni znaku oberży! A więc w braku tejże trzeba się dostać do któregośkolwiek prywatnego mieszkania, bo czy zresztą znalazłby się jaki krajowiec, któryby odmówił, wzamian za parę dolarów, trochę gorącego posiłku i wygodnego posłania?

— Stukajmy w takt sześćcio-ósemkowy! — radzi nigdy niestrudzony w swych dowcipach Ponchard.

(d. c. u.)

Odezwa Komitetu Kolonii letnich dla ubogich słabowitych dzieci.

Po raz czternasty Warszawa ma w tym roku wysłać na wieś na kolonie letnie, dzieci słabowite rodziców ubogich.

W roku zeszłym, dzięki ofiarom i pomocy ludzi dobrej woli w całym kraju, przeszło 1800 dzieci warszawskich krzepiło zdrowie i siły na świeżem powietrzu.

Grono osób niżej podpisanych, otrzymało w roku zeszłym upoważnienie władzy do zbierania ofiar i do urządzania kolonii letnich w latach 1894 i 1895, na warunkach przez tęż władzę określonych.

Grono to, przystępujące obecnie do wyboru dzieci, wysłać się mających w r. b. na kolonie letnie i do zebrania zawczasu potrzebnego na ten cel funduszu, zwraca się do serc litościwych z prośbą o przyczynienie się ofiarą do dzieła, którem wnosi się zdrowie i pociechę pod dach naszych uboższych braci.

Kolonie letnie kapitałów nie posiadają; istnieją i rozwijają się jedynie kosztem corocznie zbieranych ofiar, Bóg da, że i w roku bieżącym ofiar tych nie zbraknie, że oczekiwania rodziców, niemożących własnymi środkami ratować swych dzieci, zawiedzionemi nie będą.

Ofiary składane być mogą na ręce Skarbnika, Dyrektora Aleksandra Czajewicza, codziennie od godziny 2 do 3, w biurze Dyrekcji Towarzystwa Kredytowego Miejskiego (Ulica Włodzimierska), a nadto na ręce osób niżej wymienionych i wreszcie w redakcyach pism peryodycznych.

Brzezińska Emilia, Karłowicz Irena, Krzycka Marya, Natanson Leonia, Pawińska Jadwiga, Czajewicz Aleksander, Konic Henryk, Lubowski Henryk, Pawiński Adolf, Skłodowski Władysław, Święcicki Julian Adolf, Tanenbaum Leon, Wieniawski Julian.

Przewodniczący. *S. T. Markiewicz.*

Spodziewamy się, że czytelnicy „Wieczorów” podobnie jak w latach poprzednich chętnie też składać zechcą choćby drobne na ten cel ofiary.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA **Mazowiecka Nr. 10** NOWY.

TREŚĆ: Wszystko od Ciebie! wiersz p. Zofię Mrozowicką. — Czem jest owoc u roślin? — W pustyniach Australii p. Władysława Umińskiego. — Polowanie na dzika. (z drzew.) — Górskie zamczysko, opowiadanie z XV wieku p. Zuzannę Morawską. — Cudowna wyspa, najnowsza powieść Juliusza Verne'a, przekład M. D. — **Dodatek:** W zimie, p. Maryę Weryho (z drzew.). — Wojna domowa, wierszyk p. Nagodę. — Opowiadanie starszej siostry, z angielskiego M-ss Molesworth. — Łamigłówki i rozwiązania. — **Dodatek książkowy:** Dla szczęścia rodziny. Przekład Maryi B.

WIECZORY RODZINNE.



W Z I M I E.

— 100 —

Nie wiadomo z jakiej przyczyny mróz okrutnie zagiewany spadł na ziemię. Wszystko mu zawadzało. Drewniane parkany tak ścisnął, że deski pękać zaczęły.

Na okno wlaź, porysował je w rozmaite desenie, zaczął szukać szparki, przez którą mógłby się przedostać do mieszkania. Wkrótce znalazł ją w lufciku; wpadł do pokoju i tam strasznie dokuczał ludziom.

Potem szukał ptaków w ogrodach, na drzewach, na parkanach, aż nareszcie znalazł jednego wróbla.

Biedak schował się pod strzechę, drżał cały z zimna. Mróz porwał go i tak mocno ścisnął, że ptaszek odrazu ducha wyzionął.

Teraz już wszyscy nie mówili o niczem innym tylko o mrozie; uciekali, kryli się przed nim, gdzie kto mógł...

A mróz cieszył się, że taki postrach wszędzie budził, że taki jest silny...

Przebiegając ulice spostrzegł nagle chłopca, bez kałoszy i rękawiczek, biegającego po podwórku.

Zdziwienie mrozu nie miało granic.

— Cóż ty sobie, zuchwalcze, myślisz? Czy może chcesz walczyć ze mną?

I zaczął go szczypać w nogi, w ręce, w policzki...

Lecz chłopiec na to nie zważał, jakby nic nie czuł...

Biega, podskakuje, śnieg rękami chwyta i do celu nim rzuca.

Rozgniewał się mróz na dobre i z całej siły uszczyptał chłopca w nos...

Tym razem chłopiec nie mógł już wytrzymać, chwycił ręką za nos i uciekł do domu.

Mróz tymczasem wyszedł za miasto.

Po drodze spotkał mleczarkę z małym synkiem. i tym nie przebaczył.

Biedna kobieta chustką się otula, bo zimno straszne ją przejmowało.

Z chłopcem było jeszcze gorzej.

Nóżki mu tak skostniały, że iść nie może, drży biedak i płacze z bólu.

A mróz złośliwy coraz silniej i silniej garnie się do nich i cieszy się i raduje, że ludziom dokuczyć może.

— Niech przyjdzie noc — myśli — to siły większej nabiorę i z chłopcami do walki stanę.

I rzeczywiście, w nocy nic mu nie stało na przeszkodzie. Broił mróz w okrutny sposób, nad nikim litości nie mając.

Podobno nawet jednego podróżnego zamroził na śnierz, a ile zwierząt, ile ptaków, trudno doprawdy porachować. Tak się rozhulał niecnota, że już zamyślał o pokonaniu całego świata.

Pędzi znowu przez pola i lasy, szukając nowej ofiary. Księżyc, gwiazdy, wszystko bać się mnie powinno. Ja nawet słońce zgnebię...

Wtem z poza lasu słońce weszło. Ciepłe, pogodne, promienne, wesoło obejrzało się dokoła... A gdzie tylko spojrzęło, tam padały na ziemię jego złociste promienie.

Na ten widok ptaki z pod strzechy wesoło świegocząc na dach wleciały. Koniki uszami poruszają z radości, że słońko je ogrzewa. Zajęczek z poza krzaku wyskoczył, żeby się lepiej słońku przyjrzeć.

— Słońko, słońeczko! — zawołały dzieci, i natychmiast wybiegły na podwórko.

Wszystkim jakoś weselej się zrobiło.

Mróz widzi, jak to słońce wszyscy mile witają, więc się bardzo zawstydził; wstydził się swojej dumy i złości.

Czuje, że słońce pokona go swą dobrocią, czuje, że słabnie, że maleje...

— Czemu, czemu ono takie ciepłe — myśli — czemu takie łagodne? Gdyby było inne, tobym się rzucił na nie, zmógł bym je, byłbym znów wielki, silny... Czemu? czemu?...- za chwilę zginę...

I powoli, powoli, mróz zaczął się cofać, aż wkońcu znikł zupełnie.

Marya Weryho.

WOJNA DOMOWA.

Jadą, jadą dwaj rycerze:

Obaj dzielni, obaj młodzi,

Choć nie mają koni, zbroi,

Nic im wcale to nie szkodzi.

U kanapy poręcz duża.

Ta im służy za konika —

Dosiadają jej bezpieczni,

Że ten konik się nie zbryka.

A gdzież jadą ci rycerze?

Naturalnie, że na wroga!

Łatwo poznać po ich minie,

Że wnet zawre walka sroga!

Lecz niesłety! w ciągu drogi,

Spór wybuchnął między niemi

O to, który wodzem będzie,

Gdy już staną znów na ziemi.

Władzio mówi, że jest starszy,

Więc on wojsko w bój powiedzie —

Józio znowu chce być wodzem

Dlatego, że naprzód jedzie.

Tak od słowa, aż do słowa

Pokłócili się rycerze:

Zamiast razem iść na wroga,

Władzio się do Józia bierze!

Lecz i Józio, chociaż mały,

Zjeść się przecie nie da w kaszy —

Bój się zaczął ostry, krwawy,

Choć bez szabel i pałaszy.

Wnet u Władzia guz na czole,

Józio z płaczem w kąt się chowa —

O, nad wszystkie ponoś wojny

Niema gorszej, jak domowa.

Nagoda.

OPOWIADANIE STARSZEJ SIOSTRY.

z angielskiego

M-SS MOLESWORTH.

(Dalszy ciąg).

— Czemu nie chcesz nic powiedzieć?

— Bo wolę milczeć.

— Jakaś ty niedobra, żeby się ze mną tak obchodzić, kiedy już bez tego jestem nieszczęśliwy.

— Drogi mój biedaku! zawołałam. Nie jestem zła na ciebie jak ci się wydaje, tylko zmartwiona i również bardzo nieszczęśliwa.

— Ja także, wołał swoim piskliwym głosikiem Józio, jestem bardzo nieszczęśliwy... Chciałbym wstać.

— To wstań, odrzekłam, i ty także Tomciu. Pewna jestem, że mama nie byłaby rada, gdybyśmy tak wylegiwali się w łózkach godzinami całemi. Wstawajcie ja was ubiorę.

Wielkiego dzieła ubierania dokonałam, złamawszy tylko grzebień i rozlawszy pół dzbanka wody.

Nadeszła Sara gniewna i zachmurzona; rozpogodziła się dopiero, widząc że jesteśmy już ubrani.

— 'To dobrze, rzekła, oszczędziliście mi roboty, ale będziecie mieli co słuchać od pani Gertrudy.

Sara zajęta była paleniem w piecu, gdy weszła nasza prześladowczyni. W wielką złość wpadła, przekonawszy się, żeśmy zakaz jej przestąpili. Cały swój gniew wywarła na mnie, byłam według niej złą, niegrzeczną, niesforną, niemądrą dziewczyną!...

Z mojej jedynie namowy chłopcy stawali się nieposłuszni, był wielki czas, abym pod kierunek surowej dostała się ręki. — Nigdy, nikt nie odzywał się do mnie w ten sposób. Nie odpowiedziałam ani słówka, bojąc się za pierwszym wyrazem płaczem wybuchnąć!... Gdy się już nagadała do woli, pani Gertruda odeszła.

Sara pod pozorem przyniesienia nam śniadania, oddaliła się wcześniej, unikając gradu wymówek, z których część jej się mogła dostać. Wkrótce wróciła z zastawioną tacą. Bracia jedli z apetytem, ale bez zwykłej wesołości; co do mnie nie byłam w stanie przełknąć ani kropli mleka, ani okruszyny chleba.

Chcąc obetrzeć łzy, które mimo mych usiłowań do oczu się cisnęły, spostrzegłam, że nie mam chustki do nosa. Poszłam po nią do naszego pokoju; tu czekała mnie niespodzianka: na stosie chustek, przypięta szpilką, leżała kartka, zaadresowana: „do panny Zosi.“ — Odgądlam wnet, od kogo pochodziła: było to pożegnanie naszej biednej Kasi:

„Kochana panno Zosiu i wy drodzy moi Tomciu i Józiu! Serce mnie boli, że muszę oddalić się od was, i samotnych wśród obcych zostawić, ale cóż począć, kiedy moja matka, umierająca wzywa mnie do siebie. Nie mogę wam nawet przyrzec, że powrócę; — pani Gertruda, obawiam się, przeszkodzi temu swym wpływem na waszego stryja. Błagam cię panno Zosiu napisz do mnie gdyby wam dokuczano i źle się z wami obchodzono proszę donieść, a postaram się wam dopomóc, albo przynajmniej uwiadomić o tem mamę. — Całuję was wszystkich serdecznie.“

Wasza wierna niania

Kasia.

Pobiegłam przeczytać ten list braciom.

— Pocziwa Kasia — zawołał Tomcio — czy napiszesz jej, że cię pani Gertruda wyłajała.

— Być może — odrzekłam poważnie — muszę się namyślić.

— A wiesz jej adres?

— Mieszka w Cray, pod... pod... ale nie mogę sobie przypomnieć...

Tomcio oglądał list na wszystkie strony.

— Otóż jest, zawołał, wskazując na kilka słów, skreślonych na odwrotnej stronie, Katarzyna White w Cray przez Capplesmade...

Usłyszawszy kroki czyjeś na schodach, wsunęłam szybko papier do kieszeni.

Cicho ktoś idzie!

Była to Sara.

— Stryj kazał panienkę prosić—zaczęła od progu — ale niech się panienka spieszy, pan ma wyjść i bardzo mu pilno.

Stryj Franciszek mnie oczekiwał; był to jak gdyby nie ten sam człowiek, którego wczoraj widziałam. Uśmiech jego znikł bez śladu, a spojrzenie miał zimne i jak stal ostre.

— Zosiu — rzekł surowym głosem — pragnąłbym, aby tobie i braciom twoim dobrze było w moim domu, ale trzeba, abyście ze swej strony do tego przyłożyli się trochę. Wymagam od was, zwłaszcza od ciebie, jako najstarszej, bezwzględного posłuszeństwa, a podczas mojej nieobecności musicie szanować rozkazy pani Gertrudy, jakby wprost odemnie pochodziły. Jest ona bardzo dobrą osobą, a będąc o tyle starszą, wie lepiej od ciebie co jest z większym dla was pożytkiem... Wszak mnie zrozumiałaś Zosiu. Mam nadzieję, że odtąd nie będą mnie już dochodziły skargi na ciebie.

Stryj gotował się do odejścia, nie pocałowałszy mnie nawet.

Jakże byłabym pragnęła szczerze z nim pomówić. Czyż on wiedział, że pani Gertruda śmiała czynić zarzuty naszej drogiej mamie, że nam ciągle wymawiała zamęt, sprawiony naszym przybyciem? Wszakże staraliśmy się o ile możliwości grzecznie sprawić, ale to tak przykro znaleźć się nagle w zupełnie obcym otoczeniu. Serce mi się wyrywało do stryja, byłabym gotową pokochać go i zawsze być mu uległą, jednak chłód jego i surowość zmroziły serdeczne moje zapędy i usta mi zamknęły. Stryj musiał dojrzeć zrozpaczony wyraz mej twarzy, gdyż nagle odedrzwiał zawołał:

— Nie martw się Zosieczko — powiedział całując mnie.

Uśmiech znowu twarz jego rozjaśniał, a oczy spoglądały łagodnie. Miałam się już odezwać: Przyrzekam stryjowi być zawsze uległą i grzeczną. List Kasi stanął mi na przeszkodzie, oto w jaki sposób: Stryj całując, objął mnie ramieniem, pod jego dotknięciem papier zaszeleściał, bojąc się zdradzić treść pisma, wymknęłam mu się pospiesznie. Dotąd nigdy z niczem nie tałam się przed moim otoczeniem, we własnym też przekonaniu uważałam się winną jakby złego postępku i nie śmiałam prawie oczu podnieść.

Z mego zachowania stryj wywnioskował, że się dąsam, wzruszył ramionami i wyszedł. Jestem prawie pewną, że słyszała jak mówił przez zęby:

— Co za dziwne stworzenie!

Nie mieliśmy oczywiście szczęścia; deszcz padał od rana do wieczora tak jak i dnia poprzedniego, jedyną odmianą było przybycie naszego nauczyciela. Pan ten w starszych już latach zjednął nas sobie od pierwszej lekcji. Znalazł, żeśmy bardzo na wiek swój rozwinięci. Dotąd mama wyłącznie zajmowała się naszą nauką, wszelkie więc nam oddane pochwały jej się z prawa należały i byliśmy uszczęśliwieni, że znalazł się wreszcie ktoś, umiejący ocenić drogą mateczkę naszą. Odchodząc, nauczyciel wyznaczył nam zadanie na dzień następny, ale jeszcze przed południem lekcje były nauczone, zadania odrobione i nie wiedzieliśmy co z czasem począć.

Pokojówka Sara dowiadywała się kilka razy, czy nam czego nie potrzeba, odebrawszy jednak odpowiedź naszą zaraz odchodziła i czuliśmy się bardzo osamotnieni. Jeszcze nie nadeszła pora herbaty, a już zdanie nasze względem nieobecnej niani uległo zupełnej zmianie. Przyznaliśmy jednogłośnie, że nawet najchmurniejsza, najsurowsza, najbardziej wymagająca lepsza niż żadna. Dokuczyło nam samym sobie usługiwać, albo po pół godziny wyczekiwać na schodach nadejścia Sary, mogliśmy ją wprawdzie wzywać dzwonkiem, ale żadne z nas nie byłoby się odważyło go poruszyć. Do tego, jakby na złość, nie wiodło nam się na każdym kroku. Dwa guziki oderwały się jeden za drugim od bucika Józia, musiałam mu je przyszyć, przyczem palce moje mocno ucierpiały. Tomciowi wydało się, że mu za daleko sięgać do kałamarza, pociągnął takowy ku sobie, ja znowu w swoją przysunęłam go stronę i trwało to póty, aż się atrament rozlał na dywan. Tomcio chwycił do wytarcia pierwszą szmatę, która mu pod rękę podpadła, na nieszczęście była to balowa zarzutka mojej lalki. Czemu jej też nie sprzątnęłam! Na widok mej straty zalałam się łzami, Tomcio pełen skruchy począł mnie ścisnąć i wybaczyliśmy sobie wzajemne winy.

Na utwierdzenie zgody zaproponowałam opowiadać bajeczek.

— Nie umiem żadnej — rzekł Tomcio.

— Skomponuj jaką — odpowiedziałam.

— Ja ich tam umiem mnóstwo — zawołał Józio.

— To zacznaj.

— O nie! — sprzeciwił się Tomcio — bajki Józia takie niemądre, ty nam jaką opowiedz Zosiu, a przez ten czas sam też co wymyślę.

(d. c. n.)

S Z A R A D A.

przez E. M.

*Pierwsze i drugie ciekawie nas bada,
Trzecie zaś nigdy czyjegoś imienia,
Lub nazwy rzeczy wprost nie wypowiada;
Czwarte oznacza różnice plemienia,
Jako i w zwierząt gatunku, odmiany;
Wraz, mędrzec grecki, uczącym się znany,
Bo z jego mianem wchodzą w młodą głowę
Z tabliczki cyfry liczbowe.*

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

ułożył Jan Sz.

Z następujących sylab: A—wi—nia—e—bo—rem—
gwam—glatz—ga—ger—ra—brandt.

Ułożyć sześć wyrazów, których początkowe oraz końcowe litery, złożą nazwisko dwóch muzycznych kompozytorów niemieckich. Znaczenie wyrazów: 1) Nazwa chaty indyjskiej. 2) Miasto nad rzeką Anrajok, między odnogą Fińską i Botnicką. 3) Warownia pruska n. rz. Nisą. 4) Wodospad w Ameryce. 5) Miasto nad rzeką tegoż nazwiska w Czechach. 6) Słynny malarz i miedziorytnik holenderski z XVII wieku.

ŁAMIGŁÓWKA W KWADRACIE.

ułożył Towarzysz pancerny.

* , . Zastąpić kropki literami, aby
. * pierwsze litery oraz pierwszy
. . * rząd utworzyły nazwę miasta
. . . * nad Dnieprem, litery zaś ozna-
. . . . * czone gwiazdkami, imię sław-
. * nego mędrca greckiego. 2)
. * Miasto przy ujściu Menu do
. * Renu. 3) Wyraz oznaczający
wynalezienie czegoś niezna-
nego. 4) Minerale, gatunek spatu polnego, znajdujący
w Kanadzie. 5) Imię męskie. 6) Roślina z rodziny złożo-
nych o kwiatach wielkich, żółtych, pospolita u nas.
7) Słynny tragik grecki. 8) Wódz rzymski, zwycięzca
Brennusa.

ROZWIĄZANIA DO N-ru. 8-go.

Szarady: Ka — me — le — on.

Niteczki Aryadny:

Na wiązance z białej róży,
Na fiołkach spoczął we śnie,
Dzień ów wielki, dzień miniony,
Gdym najrańszą złożył pieśnię.

Tłumaczył Wł. Syrokomla.

ŁamigłóWKi sylabowej:

1) Szalej. 2) Tuła. 3) Anczyc. 4) Niech. 5) Izeo. 6) Sta-
nisław. 7) Łuna. 8) Aurillac. 9) Wajgacz.
Stanisław Jachowicz.

Skrzynka do listów.

Prawda, że z odpowiedzią na list Józia spóźniłeś się kochany Kozaku Sawo tak bardzo, że prawdopodobnie nie otrzymasz odpowiedzi, chociaż list twój będzie mu przesłany. Bo czyż podobna pamiętać Józiovi coś mu donosił przed rokiem blisko i pisać o tem w dalszym ciągu? My za to powiedzić ci możemy, że Józio pracuje pilnie w obranym sobie zawodzie i pozostaje zawsze w jednym miejscu. Jest zresztą bardzo zajęty i brak mu zupełnie w chwili obecnej czasu, do podtrzymania dawniejszych korespondencji. Możemy cię tylko zapewnić, że będzie miał szczerę dla ciebie współczucie, dowiedziawszy się o stracie, jaką poniosłeś. A zachęcałby cię też niewątpliwie do pilności w naukach, w których powiadasz, że nie czynisz wielkich postępów, nie przykładając się do nich pilnie. Nasz Józio bowiem był zawsze „zapracowany,” gdyż uczył się świetnie i dlatego z nauk swoich obfite teraz odnosi plony. Życzymy ci abyś go rychło naśladował w jego pilności i pracy.

Szanownej długoletniej prenumeratorki dziękujemy za przesłane wiersze młodych autorów na dowód, jak dodatnio na dzieci wpływa czytanie naszego piśmka. Rzeczywiście wierszyki są dość gładko i ładnie napisane, a w dodatku przekonywują nas, że czytelnicy „Wieczorów” naśladować podane w nich umysłowe rozrywki, nabierają upodobania w zabawie, łączącej przyjemność z pożytkiem.

Gorliwa czytelniczka Janka G. ucieszyła nas wiadomością, że wraz z młodszym rodzeństwem z ciekawością czyta powiastki w „Wieczorach”. Życzeniem też takich miłych i grzecznych dzieci zawsze zadosyć uczynić jesteśmy gotowi i żądany początek powiastki „Dla szczęścia rodziny” przesłaliśmy.

Niezmienna w życzliwości swej Wroźbiarka szczęścia słusznie utrzymuje, że największa dla nas pociecha jest przekonanie, że rzucane przez nas ziarna moralnych zasad na wdzięczną padają rolę i obiecują pożyteczny plon wydać w przyszłości. Takim dowodem jest przysłana nam wiadomość przez Wroźbiarkę, że czytelniczki nasze wołały się wyrzec „Gwiazdki”, aby przeznaczone na to pieniądze oddać biednym dzieciom.

N....ka z nad Warty ujęła nas sumiennością, z jaką rozpatruje ujemne strony swego charakteru, jak niemniej skromnością, z jaką doprasza się o wytknięcie błędów niewprawnego jeszcze pióra. Rzeczywiście, że nie pochlebstwa, lecz prawda bezwzględna najlepszą dla człowieka bywa mistrzynią.

Białą Różyczkę zapewnić możemy, że żadnego listu nie zostawimy bez odpowiedzi, zapewne więc odezwa jej nie doszła rąk naszych. Co do żądanych pogadanek przyjdzie i na nie kolej w „Wieczorach.” Książka p. t. „Reginka i prawdziwe bogactwo” kosztuje bez oprawy rs. 1 kop. 50, w oprawie rs. 2, przesyłka kop. 25.

Stosownie do życzenia Schodniczanki i Jozia P. przesłaliśmy żądane dodatki, należność za przesyłkę może nam być zwróconą przy sposobności.

Otrzymaliśmy znowu sporą wiązaną szarad, zagadek, logogryfów i t. p. ułożone przez młodych czytelników naszych. Przesłali je mianowicie: N....ka z nad Warty, Stefan B., Fiołek alpejski, Juljusz W., Malarz. Prace ich wydrukujemy o ile się do tego nadawać będą.

Dobre rozwiązania nadesłali: K. St. Żabka teterowska, Wróbelek, Nacia J., która niesłuszną ma pretensję za pominięcie jej w liście trafnie odgadujących, zapewne list jej w drodze zaginął.

Bardzo ci wdzięczną jestem Białą Różyczko, że tak pragniesz widzieć moją fotografię; sprawiłaby ci ona jednak niemily zawód, bo niepozorna ptaszyna niczem się nie różni od szarych i ciemnych koleżanek swoich, chyba tem jedynie, że dla czytelników „Wieczorów” zachowuje w sercu niezmiennie uczucie życzliwości, jako odana im szczerze

Jaskółka.